

Chciałbym uzależnić dzieci od czytania

Z Grzegorzem Kasdepke rozmawia Wirginia Borodnicz

Należy Pan do pisarzy młodego pokolenia, którzy mają stały kontakt z czytelnikami. Lubi Pan spotkania autorskie?

Nawet bardzo. Wzajemnie się poznajemy i to jest cenne.

Spotyka się Pan z przedszkolakami?

Tak, ale powiem szczerze, że są to najtrudniejsze spotkania. Dzieciom z przedszkola trzeba opowiadać, a z dziećmi szkolnymi już się rozmawia.

Czy zaskoczyły Pana jakieś pytania dzieci?

Dzieci na szczęście nie widzą w pisarzu autora, który chce im coś przekazać, interesuje je autor jako człowiek. Niedawno obchodziłem trzydzieste czwarte urodziny i dzieci bardzo się przejęły, że jestem taki stary. Pytają mnie na przykład, czy mam dzieci, co lubię jeść najbardziej, jak długo pisze się książkę? To są autentyczne pytania dzieci.

A takie, które Pana zdumiały?

Zdumiewa mnie i to dość często, że dzieci sześć-, ośmioletnie ze szczerym zainteresowaniem pytają o sprawy finansowe. Widać wyraźnie, że temat pieniędzy jest ważny w domu. Spotykam się z dziećmi z różnych środowisk i niezależnie, czy są to środowiska bogatsze, czy biedniejsze, temat pieniędzy ciągle się pojawia.

Znak czasu.

Tak. To jest zdumiewające. Pamiętam siebie w tym wieku. Ani ja, ani moi koledzy – nikt z nas nie myślał o pieniądzu. Wprawdzie w PRL-u nie miały one realnej siły nabywczej, więc nie było tylu pokus. Myśmy mieli kompletnie inne zainteresowania. Niedawno na jednym z moich spotkań



w okolicach Płocka na pytanie: „Kim chciałbyś zostać?” usłyszałem: fryzjerką, hydraulikiem, sklepikarzem. Kiedyś nasze marzenia były maksymalne, na przykład: być kosmonautą, najslawniejszym pisarzem świata, odkrywcą, podróżnikiem. Teraz marzenia dzieci skarłały i to my dorośli jesteśmy temu winni.

Pana dzieciństwo?

To miłe dzieciństwo spędzone w Białymstoku. Jestem jedynakiem i, co ciekawe, nigdy nie pragnąłem mieć rodzeństwa. Miałem kolegów, biegałem z chłopakami po podwórku. To były czasy, kiedy nie myślało się, że na podwórku może czaić się niebezpieczeństwo. Byliśmy zgraną paczką, niemal jak bracia, no i pewnie dlatego nie myślałem o rodzeństwie. Rosłem w rodzinie wielopokoleniowej, co jest bardzo ważne dla dziecka. Często byłem pod opieką dziadków, pod okiem babci, z którą miałem świetny kontakt. To powodowało, że rodzice mogli ode mnie odetchnąć i gdy już byliśmy dla siebie, to spędzaliśmy ten czas ciekawiej, nie tak zwyczajnie. Po prostu szczęśliwe dzieciństwo.

Co najcenniejszego wyniósł Pan z domu w dorosłe życie?

Czułem się dzieckiem kochanym prawdziwie i to jest najważniejsza rzecz. Wiedziałem, że cokolwiek zrobię – to jest mama, która, owszem, może być na mnie czasami zła, ale ona mnie kocha i zawsze mogę na nią liczyć. Chciałbym takie dzieciństwo dać memu synowi. Nie wiem, czy to mi się udaje, gdyż relacje syn – matka są inne niż relacje ojciec – syn. Mój syn radzi się mnie w różnych sprawach, ja się mamie za bardzo nie zwierzałem. Już jako siedmioletek miałem swoje sprawy, ale wystarczało mi to jej wsparcie serca. Miałem poczucie bezpieczeństwa.

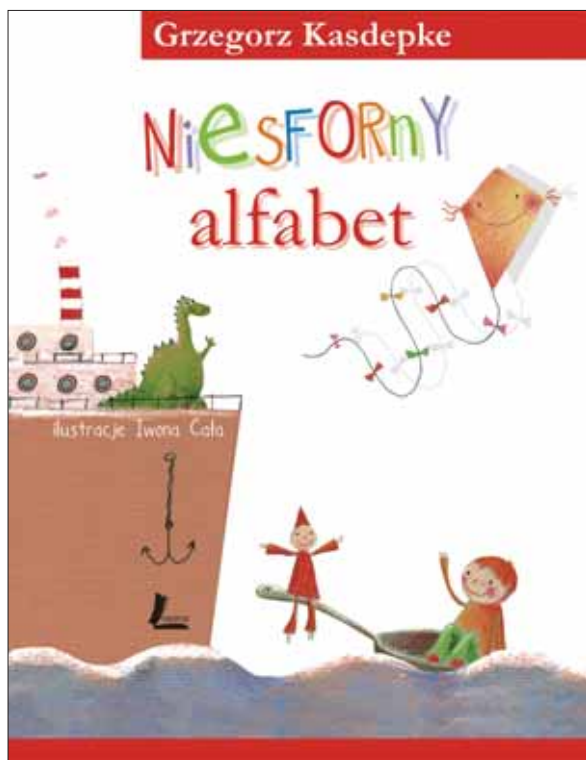
Nie należał Pan do dzieci czytających książki?

Do pewnego momentu. Z własnej woli rzeczywiście książek czytać nie lubiłem, ale musiałem czytać lektury. Jedną z książek, którą kazano mi przeczytać była *Nasza szkapka* Konopnickiej, kolejną *Antek* Bolesława Prusa, o dziewczynce spalonej w piecu. Ten obrazek wbił się w moją pamięć. Zniechęciłem się skutecznie i na długo zapamiętałem, że czytanie książek to jest niemiłe zajęcie. Było ono krańcowo odległe od mego atrakcyjnego świata, tego, który kręcił się wokół podwórka.

Odkąd siebie pamiętam, buzowała we mnie wyobraźnia. Tworzyłem różne historie w głowie, wymyślałem na przykład filmy, które z chłopakami odgrywaliśmy. Myśmy nigdy nie ganiłi po podwórku tylko dla ganiania. Graliśmy różne role, wcielaliśmy się w bohaterów telewizyjno-książkowych, od Indian poczynając.

Jestem pełen podziwu dla mojej mamy, która z kolei jako rozmiłowana czytelniczka jakoś spokojnie zniosła ten mój okres życia z książką na bakier.

Za to potem, mając już dziesięć lat, przeczytałem książkę *Finek* Jana Grabowskiego, z ilustracjami Jerzego Flisaka, którego wiele lat później miałem przyjemność poznać pracując w „Świerszczyku”. *Finek* to była pierwsza książka, którą przeczytałem samo-



dzielnie, z własnej woli i ku mojemu zdumieniu z przyjemnością. Przeczytałem ją raz i jeszcze raz i nagle stałem się połykaczem książek. Wiele książek dla dzieci przeczytałem już jako człowiek dorosły, po maturze, na studiach. Urzekło mnie, że można tak wiele wyrazić pisząc dla dzieci.

Ukończył Pan studia na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Myślałem, że będę dziennikarzem. Tymczasem na drugim roku studiów przypadkiem trafiłem do „Świerszczyka”, jako redaktor-praktykant... od wszystkiego. Zacząłem od rozcinania listów. Dostawaliśmy ich bardzo dużo, „Świerszczyk” ogłaszał mnóstwo konkursów, a że byliśmy porządną redakcją, więc uczciwie czytaliśmy wszystkie listy i prace konkursowe dzieci. Taki był początek.

To szybko się zmieniło.

Po roku zostałem redaktorem naczelnym „Świerszczyka”, chyba w uznaniu tego, że... dobrze rozcinałem listy. Pamiętam, że jeden z naszych autorów kiedyś szpetnie zawiódł,

nie oddał tekstu na czas. I wtedy, żeby zapisać dziurę, napisałem swój pierwszy w życiu tekst dla dzieci. To była bajka. I nagle poczułem, odkryłem w sobie potrzebę pisania dla dzieci.

Narodził się pisarz.

Kiedy napisałem tę pierwszą bajkę, to zaczęły napływać do mojej głowy pomysły i one płyną i płyną nieprzerwanie do dziś. Głowa autora jest jak siatka łapiąca pomysły. A skąd one się biorą – to ja nie mam pojęcia. Mam kłopot, gdy dzieci pytają mnie o nie.

Jak Pan lubi spędzać wolny czas?

Od paru lat nie jestem związany z żadną redakcją, tak że sam dysponuję swoim czasem, co nie znaczy, że mam go więcej. Ale gdy mam czas, to dużo czytam. Jestem miłośnikiem literatury ibero-amerykańskiej. Podobają mi się, że w tej poważnej literaturze opisującej realia pojawia się nagle coś, co w normalnym życiu naprawdę nie ma prawa funkcjonować. Wolę czytać książki, niż je pisać. I bardzo lubię sport. Lubię jeździć na rowerze po Lasku Bielańskim w Warszawie, lubię biegać, w zimie na nartach. I lubię leniuchować, nie ukrywam.

Wyróżniona w konkursie na dziecięcy bestseller roku 2001, uhonorowana w 2002 roku prestiżową nagrodą im. Kornela Makuszyńskiego debiutancka *Kacperiada* nosi podtytuł *Opowiadania dla łobuzów i nie tylko*. Podtytuł sugeruje, że są to opowiadania niegrzeczne, a tymczasem są najzupelniej grzeczne, z życia sympatycznej rodziny.

Uznaję *Kacperiadę* za mój właściwy debiut książkowy, choć gwoździem do ściany – wcześniej w wydawnictwie „Wilga” ukazało się *Miasteczko misiów* dla bardzo małych dzieci. Trzy różne historyjki „schowane” w bajkowym domku z zabawkami cieszyły się powodzeniem maluchów.

Ma Pani rację, że *Kacperiada* opatrzona jest troszkę mylącym podtytułem. Niewątpliwie chciałem zaintrygować czytelnika, a przy tym ocieplić to twarde słowo będące ty-

tułem książki. Są to opowiadania o chłopcu, który kończy przedszkole, jego niezbyt doświadczonym ojcu (sam wystąpiłem w tej roli) i wynikających stąd rodzinnych perypetiach.

[...] Był taki okres w życiu naszej rodziny, kiedy to wydawało nam się – mnie i mojej żonie, Magdzie – że uszy są Kacprowi całkowicie niepotrzebne; wręcz mu przeszkadzają...

Mówiliśmy: „Kacper, chodź na obiad!”

Kacper nic.

Mówiliśmy: „Kacper, idziemy już do domu!”

Kacper nic.

Mówiliśmy: „Kacper, wychodź z wanny!”

Kacper nic. Bawił się dalej, jak gdyby nie docierały do niego nasze słowa.[...]

– Może on ogłuchł? – przestraszyła się kiedyś Magda, ale zaraz ją uspokoiłem. [...] Zawołałem w stronę piaskownicy [...] – Synu, chodź na lody!...

– Kacper w jednej chwili zerwał się na nogi,[...] i już był przy nas.

– Na patyku? – zapytał oblizując się łykołak. – Czy w kubeczku?...

A więc nie ogłuchł. Ale dogadać się z nim z tygodnia na tydzień było coraz trudniej.

Aż pewnego razu [...] wpadł mi do głowy pomysł – skoro uszy są Kacprowi niepotrzebne, to może sprzedamy je, a za zarobione pieniądze pojedziemy na wakacje, nad morze lub w góry?...

– Co ty na to? – zwróciłem się w stronę Kacpra, bez wiary jednak, że mnie usłyszysz.

– Takie młode uszy, prawie nieużywane, to pewnie są teraz w cenie... Na pewno się komuś przydadzą.

Kacper zastrzygł uszami, jak koń odganiający natrętną muchę, ale nie odezwał się ani słowem. [...] Daliśmy więc ogłoszenie do gazety: „Sprzedam uszy, prawie nieużywane, warto!” I numer telefonu [...]¹.

W Pana książki wpisane są wyraźne intencje wychowawcze, poznawcze. Tak jest w *Kacperiadzie*, w *Najpopularniejszych*

¹ G. Kasdepke, *Kacperiada. Opowiadania dla łobuzów i nie tylko*, Łódź 2001, Wydawnictwo „Literatura”.

mitach świata, w Kubie i Bubie, w Co to znaczy... i w Detektywie Pozytywce. Zależy Panu, żeby objaśniać dzieciom świat i dawać im radość.

Sam jestem człowiekiem pogodnym i tak też staram się pisać. Poczucie humoru jest dla mnie bardzo ważną cechą człowieka. Rzeczywiście, w pewnym momencie odkryłem potrzebę dydaktyzmu, ale staram się go ukryć pod warstwą humoru. Bo jeżeli czuje się ten dydaktyzm, to znaczy, że książka jest źle napisana.

Czy dzieci rozmawiają z Panem na temat postaci, bohaterów książek?

Tak. Pytają na przykład, czy znam Kubę i Bubę, czy ich wymyśliłem, czy dużo zmyślałem w książkach? Duże wrażenie robi na dzieciach fakt, że bohaterem Kacperiady jest chłopiec, który istnieje naprawdę i tak jak one chodził do przedszkola, a teraz do szkoły. Ta świadomość działa silnie na czytelników.

Ten chłopiec to Pana syn, Kacper. Zdaje się, że mocno zmienił on Pana spojrzenie na świat?

Syn pojawił się dość wcześnie w moim życiu. Ojcostwo dla mnie było i jest doznaniem zupełnie niezwykłym. Miałem dwadzieścia trzy lata, kiedy urodził się Kacper. Do chwili jego urodzin pisałem abstrakcyjne bajki, tworzyłem światy wymyślone przeze mnie od początku do końca. Drukowałem opowiadania w piśmie „Fantastyka”. A gdy syn się urodził, to okazało się, że „bajka” jest w drugim pokoju i krzyczy. Zmienił się świat mojej wyobraźni w świat rzeczywisty. Bardzo dużo nauczyłem się od mojego syna i cały czas uczymy się od siebie wzajemnie. Nigdy nie udaję, że jestem ojcem wszechwiedzącym, ale takim, który stara się wiedzieć. Często razem szukamy źródeł informacji.

Czy komputer jest dla dziecka drogą do książki?

Moim zdaniem jest przyjaźniejszy książce niż telewizja, która wymaga minimalnej aktywności. A komputer, jeśli nie traktuje się go li tylko jako pola gier, daje możliwość poznawania świata przez Internet.

Czytanie bez szelestu kartek...

Nie, nie, na pewno nie. Widać już na świetle, że książka pięknie się obroniła. Komputer wcale tak bardzo nie przesłania życia dziecka, jeśli proponuje się mu coś innego. To nasza rola, dorosłych.

Pisze Pan książki również z myślą o dorosłych. Skąd ten zamysł?

Cieszę się, że zwróciła Pani na to uwagę, bo jest to dla mnie niezwykle ważne. Jako ojciec czytający dziecku od kolebki trafiałem na różne, także niedobre, infantylne teksty. I obiecałem sobie, że będę pisał książki dla dzieci „wielowarstwowo”. Podobnie jak w filmie, co innego odbierają dzieci, co innego śmieszy dorosłych. Sądzę, że takie książki mogą zainteresować w obecnym świecie zmęczonych rodziców i zachęcić ich, żeby czytali swojemu dziecku.

Przyznaje Pan, że dorośli nie zawsze mają rację, ale nie przedstawia ich Pan w złym świetle. Dziecku potrzebne są wzory.

Ależ oczywiście. Teraz jest moda, żeby być kumplem dziecka. Moda mówienia rodzicom po imieniu, moda na takie „luzackie” wychowanie. A dziecko chce mieć autorytety. Pamiętam siebie z okresu chłopięcego i wiem, że dzieci czują się bezpiecznie wówczas, gdy mają duże pole swobody, ale są zaznaczone granice. Pewniej czujemy się w jeziorze gdy widzimy przed sobą chorągiewki oznaczające: „dalej już nie płyn”. Brak barier powoduje, że taki mały człowiek nie ma się czego chwycić i o co oprzeć. Poczucie bezpieczeństwa powinien dać dom. My dużo rozmawiamy z synem i z tych rozmów wyciągam wnioski, także do swej pracy.

Czy książki będą rosły wraz z synem?

Tak. Teraz piszę właśnie romans dla dzieci.

Brzmi to trochę prowokacyjnie, ale to będzie rzeczywiście prawdziwy romans, taki z pocałunkiem. Staram się go pisać w sposób jak najbardziej taktowny, a zarazem zabawny. Jest to historia chłopca, który próbuje ożenić swego samotnego tatę z mamą dziewczynki, która się temu chłopcu bardzo podoba.

To nie był mój pomysł, podsunął mi go ośmioletni chłopiec na spotkaniu autorskim w Opolu. Pomysł uznałem za świetny, uczucia są ważne w każdym wieku, no i piszę książkę, chyba bardziej z myślą o chłopakach. Wciąż za mało jest literatury kierowanej właśnie do chłopców.

Czy lubi Pan pisać?

Hm... moim czytelnikom odpowiadam, że z pisanem to jest tak jak z odrabianiem lekcji. Najtrudniej jest zabrać się do pisania. Wynajduję najrozmaitsze zajęcia, byle jeszcze oddalić ten moment. Ale kiedy napiszę pierwsze zdanie, to potem już jest łatwo.

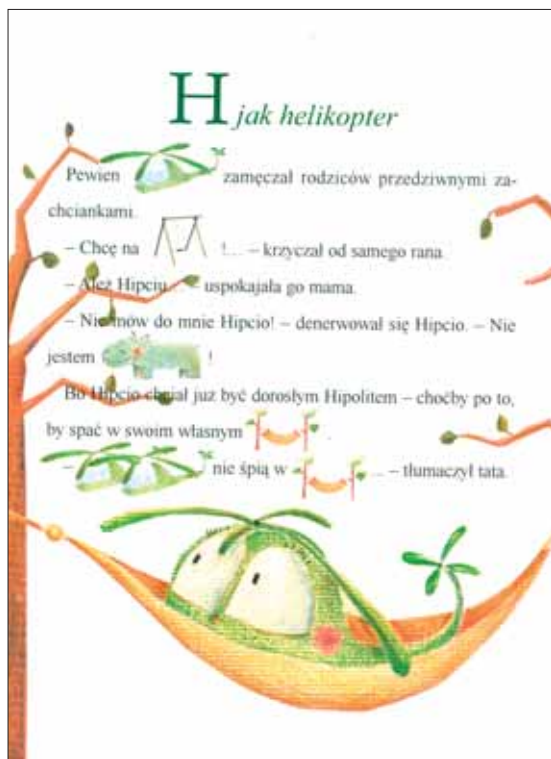
Z myślą o przedszkolakach poznających litery ukazał się niedawno nakładem Wydawnictwa „Literatura” *Niesforny alfabet, z ilustracjami Iwony Całej*.

Są to króciutkie opowiadania o każdej literze alfabetu. Część słów została zastąpiona rysunkami.

Kolejna książka dla pięcio-, sześciolatków nosi tytuł *Z piaskownicy w świat*. W zabawie dzieci poznają charakterystyczne cechy różnych krajów. Starsze przedszkolaki lubią *Detektywa Pozytywkę*. Detektyw śledzi i rozwiązuje różne zagadkowe sprawy, w czym pomaga mu jego szeroka wiedza. Ponieważ książka spotkała się z dużą przychylnością czytelników, już napisałem część drugą – *Nowe kłopoty detektywa Pozytywki* i mam pomysł na część trzecią.

Sześciolatki mogą także korzystać z książek dla starszych dzieci *Co to znaczy...*, które w sposób przystępny i zabawny wyjaśniają znaczenie frazeologizmów.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że Kacper, który jest chłopcem odczytanym, nie zna sensu znanych powiedzeń, na przykład: „chodzić spać z kurami”, „udawać Greka”, „mieć kielbie we łbie” i wielu innych. Szybko się przekonałem, że inne dzieci też ich nie rozumieją, więc postarałem się wytłumaczyć część z nich.



Bartuś postanowił wziąć udział w wystawie rybek akwariowych.

- *Przecież ty nie masz rybek!* – zdziwił się tata.
- *Jak to?!* – Bartuś był wyraźnie zaskoczony.
- *Przecież kielbie to rybki, tak?...*
- *Cóż, trudno temu zaprzeczyć...*
- *A ty mi ciągle powtarzasz...* – kontynuował Bartuś – *że mam kielbie we łbie, tak?...*

Tata wybuchnął śmiechem. – To znaczy, że masz ciągle jakieś głupie pomysły – wyjaśnił. – I zdaje się, że jest to prawda!...².

Napisałem już drugą część tej książki, zresztą na prośbę nauczycieli. Ukazała się kolejna książka o nieznosnych bliźniakach pod tytułem *Słodki rok Kuby i Buby*. Jest to książka kucharska dla dzieci. Nie są to moje przepisy, bo ja tak dobrze nie gotuję, jestem jaroszem, ale lubię słodkie i dlatego przepisy są słodkie. Ich autorką jest Gabrie-

² G. Kasdepke, *Co to znaczy... czyli 101 zabawnych historyjek, które pozwolą zrozumieć znaczenie niektórych powiedzeń*, Łódź 2002, Wydawnictwo „Literatura”.

la Niedzielska. Myślimy już o następnej książce kucharskiej dla dzieci, w której zaprezentujemy potrawy z całego świata. Książka będzie zarazem hołdem dla Juliusza Verne'a, a jej tytuł to *W 80 dań dookoła świata*.

Sądzę, że popularność pierwszej książki, *Kuba i Buba czyli awantura do kwadratu*, nasunęła Panu myśl, żeby wykorzystać tę parę bohaterów w książce *Bon czy ton. Savoir-vivre dla dzieci*. Ciągłe jest jakże potrzebna „praca u podstaw”.

Książki o dobrym wychowaniu dla dzieci były pisane w formie poradników, więc nie najchętniej czytane. A tu rodzeństwo, w którym Buba jest „z piekła rodem” dawało naturalne możliwości wpajania zasad. Czy dzieci będą je stosowały, to już inna sprawa, ale zawsze powtarzam, że ludzie, którzy znają zasady *savoir-vivre*'u ładniej je łamią, niż ci, którzy ich nie znają.

Dużo pomysłów...

Tak, tak. I ciągle płyną nowe do mojej głowy.

Jest Pan również jednym z autorów krótkich, nowych tekstów bajek na podstawie baśni Hansa Christiana Andersena. Te nowe opracowania tekstu zachowują wierność fabule oryginału, ale ponieważ opowiedziane są w tempie ekspresowym, nie ma już miejsca na poezję i czar baśni. Pozbawiamy dziecko poetyki Andersena, która działa na wyobraźnię, kształtuje wrażliwość czytelnika. Co Pan o tym sądzi?

W dużej mierze zgadzam się z Panią, więc nie będę się mocno bronił. Jako jeden z dwóch autorów otrzymałem propozycję

z redakcji miesięcznika „Dziecko” opowiedzenia na nowo najpopularniejszych baśni świata. Nie chciałem przyjąć tego zamówienia dopóty, dopóki nie przekonałem sam siebie, że jeżeli kompozytorzy mają prawo tworzyć wariacje na tematy istniejących wielkich dzieł, to i my, autorzy, mamy do tego prawo. Jestem zatem jednym z interpretatorów tematu wielkiego kompozytora słowa H. Ch. Andersena. Wybrałem dwie baśnie, *Calineczkę* i *Słowika*, i napisałem je po swojemu.

Którą wersję baśni wybrałby Pan dla swego syna?

Dla dziesięciolatka zdecydowanie oryginał Andersena, ale dla pięciolatka swoją. Chciałem, żeby na okładce książki pojawiła się informacja, że są to właśnie „wariacje na temat”. Szkoda, że tak się nie stało. Nie musiałbym się wówczas tłumaczyć co jakiś czas. Liczę jednak, że dzieci, którym rodzice przeczytają mój tekst, zapamiętają, że jest to atrakcyjne i z czasem już same sięgną do oryginału Andersena.

Wymarzony czytelnik?

Ambicją autora jest, aby dziecko, które przeczyta jedną jego książkę, chciało sięgnąć po następną i żeby się rozczytało, tak jak ja po przeczytaniu *Finka* pana Grabowskiego. Wiem od pań bibliotekarek, że mam takich czytelników. Bardzo chciałbym uzależnić dzieci od czytania. Bo czytanie książek to jest taki przystanek normalności w szalonym tempie życia.

**A zatem... spotkań „na przystanku”!
Dziękuję Panu za rozmowę.**

Rozmawiała *Wirginia Borodicz*